

Bogatynia w okresie powojennym

Gdy zaczęli napływać pierwsi osadnicy, tereny Bogatyni, Zatonia, Trzcinka były zielone, a powietrze zdrowe i czyste. Niewiele wskazywało na to, iż niedawno skończyła się wojna. Jeszcze w niektórych gospodarstwach mieszkały rodziny niemieckie, które nie zdążyły uciec przed linią frontu, ale już w roku 1947 reszta spakowała walizki i wyjechała za Nysę Łużycką. Ponieważ w większości zabudowania gospodarcze stały nietknięte, osadnicy nie mieli kłopotów z zagospodarowaniem się na nowym miejscu. Pierwsi mogli jeszcze wybierać gospodarstwa wyposażone w sprzęt rolniczy oraz domy całkowicie umeblowane. Stodoły załadowane były zbożem (nie wszystkie oczywiście), a w piwnicach były zapasy ziemniaków i buraków. W wyborze pomagał przybyłym sołtys. Kolejni osadnicy musieli brać to, czego jeszcze nie zajęli ich poprzednicy. Obok porządnych ludzi trafiali się również zwyczajni wandale i szabrownicy, dlatego nie zajęte gospodarstwa były początkowo okradane, a następnie niszczone do tego stopnia, że nie nadawały się już do zamieszkania.



Skamieniałe drzewo stojące na terenie Kopalni Węgla Brunatnego "Turów". Foto: Krzysztof Tęcza

Rolnicy zaczęli uprawiać pola. Potrzebna była żywność. Jednak dużo większą chęć do pracy przejawiali robotnicy, głównie zatrudnieni w kopalni węgla brunatnego. Chociaż początkowo ludzie nie dbali o mienie mówiąc, że są tutaj przejściowo, że to wszystko niemieckie, to po kilku latach zmieniali swoje nastawienie. Zaowocowało to przede wszystkim rozwojem usług. Zaczęto myśleć nie tylko o pracy, ale również o odpoczynku. Co sobotę i niedzielę urządzano huczne zabawy i potańcówki.

Pierwsi osadnicy przybywali transportami zbiorowymi z jednego określonego terenu. Ściągali oni później swoich krewnych i sąsiadów tworząc całe "rodzinne" osiedla. Ci z kresów osiedlali się głównie w Bogatyni nazwanej z tego powodu "Moskwą". Zatonia, gdzie zamieszkała grupka rodaków

z Francji, określano "Paryżem", a Trzciniec z przybyłymi tu Polakami z terenów Niemiec - "Berlinem". Najbardziej w tym czasie zadowolone były dzieci. Wszędzie poniewierały się duże ilości sanek, nart, lalek i innych zabawek, ale szukały one jeszcze tzw. Mocnych wrażeń - chciały bawić się w żołnierzy, oczywiście używając do tego celu prawdziwej broni. Porzucona lub zakopana, nieraz z amunicją, była łatwą zdobyczą. W miarę stabilizowania się życia wojsko coraz szybciej i sprawniej ujawniało i odbierało takie "zabawki".

Gdy wyjechali ostatni Niemcy, zaszła konieczność zapełnienia powstałej luki przy obsłudze restauracji, drobnych zakładów rzemieślniczych i małych fabryczek. Szukano odpowiednich ludzi wśród osadników. Nie zawsze wytypowany człowiek okazywał się odpowiedni, toteż dużo wspomnianych obiektów zostało bezpowrotnie zniszczonych.

Obecny teren Bogatyni obejmuje dawne wioski Trzciniec (dolny i górny), Zatonie (wieś i kolonia), Turów i inne. Jeden z osadników, który opowiadał mi o swoim życiu po przyjeździe tutaj, mieszkał w Zatoniu, w budynku nr 319 wyburzonym w roku 1980 dla potrzeb elektrowni. Obok stały jeszcze dwa inne domy. Ten jednak był wyjątkowy. Dawny jego właściciel, major lotnictwa niemieckiego, miał również majątek w dzisiejszych Czechach. Tutaj gospodarowała jego córka. Ze względu na obszar ziemi uprawnej potrzebni im byli ludzie do pracy. Mimo, iż byli to niejednokrotnie robotnicy przymusowi, trzeba było ich gdzieś zakwaterować oraz nakarmić. Duży murowany budynek o dachu dwuspadowym z okapem krytym dachówką, z dwoma kondygnacjami piwnic, mieścił szereg wygodnych pokoi, które udostępniono pracującym. Na portalu domu umieszczona była między dwoma lwami data 1889. Z tyłu stał mały pałacyk dla córki właściciela. W budynku dla robotników najemnych była stołówka i jadalnia. Oba pomieszczenia wyłożone kafelkami zawsze lśniły czystością. Do dnia rozbiórki lokatorom służyła dawna wędzarnia, magiel elektryczny, piekarnia, centralne ogrzewanie. Nie wszyscy mieli wówczas zegarki, dlatego też na dachu zbudowano małą wieżyczkę na dzwon, którego dźwięk oznajmiał porę posiłków. Wodę potrzebną w gospodarstwie pobierano za pomocą pompy ze źródła, a zużyta odprowadzano dzięki założonej kanalizacji. Podwórze, aby ludzie nie tonęli w błocie, wyłożono kostką. Oprócz wymienionych obiektów zbudowano dużą stajnię, garaże na maszyny rolnicze oraz całkowicie zmechanizowaną stodołę z trzema betonowymi silosami (zachowanymi do dzisiaj). Silnik elektryczny napędzał taśmociąg łańcuchowy, za pomocą którego snopki rozkładano zarówno w poziomie jak i w pionie. Z dużego sadu (częściowo zachowanego) uzyskiwano mnóstwo śliwek, czereśni, gruszek. Istniała przechowalnia owoców - dwa betonowe pomieszczenia w ziemi. Właściciel gospodarstwa był na tyle bogaty, że musiał zabezpieczyć się przed złodziejami. Z tego powodu umieszczono tu aż 4 kasy pancerne: trzy w pokojach a największą przy stołówce. Po zburzeniu budynku okazało się, że ważyła ona 1,5 tony.

Pewnego dnia jeden z moich rozmówców, w latach 50-tych, sadził w ogrodzie krzaki agrestu. W pewnym momencie poczuł pod szpadlem coś twardego. Uderzył mocniej i wykopał przegniłą deskę. Po zdjęciu warstwy ziemi jego oczom ukazała się skrzynka zawierająca zastawę porcelanową - talerze, filiżanki, dzbanuszki, kubki, wazy - oraz kryształowe szklanki zdobione pięknym szlifem. Inny gospodarz znalazł podobną skrzynię ze srebrnymi sztućcami. Kilka lat po tym wydarzeniu w ścianie nieużywanej stajni zauważono świeżo wykuty kwadratowy otwór. Po dłuższych dociekaniach okazało się, iż była tam zamurowana skrzynka, prawdopodobnie z kosztownościami poprzednich właścicieli. Na strychu znaleziono wiele starych książek oraz fotografie rodzinne.

Początkowo był tu piękny teren rekreacyjny. Grzyby rosły tuż przy zabudowaniach, w niewielkich brzoźowych zagajnikach. Nawet istniejąca po niemieckiej stronie elektrownia nie była zbyt uciążliwa. Ta sielanka nie trwała jednak zbyt długo. Pod koniec lat 50-tych XX wieku zaczęto budowę elektrowni Turów, mającej zaspokoić rosnące zapotrzebowanie na energię elektryczną. Zburzono wówczas wiele budynków przeszkadzających w realizacji tego ambitnego założenia. Później burzono i takie domy, które nie przeszkadzały. Zatrudnienie znalazła tutaj większość mieszkańców. Początkowo zarabiali oni bardzo dobrze.

Ścisły związek z zarobkami miało życie prywatne budowniczych, głównie osób zamieszkałych w hotelach robotniczych w Sieniawce. O godzinie 22.00 nikt nie mógł wyjść na ulice, nie ryzykując pobicia. Po każdej wypłacie miały miejsce bójki, często kończące się bardzo tragicznie. Był nawet wypadek obcicia komuś uszu. Wkrótce do akcji wkroczyła milicja, która trochę ostudziła zapał krewkich osobników.

W miarę uruchamiania kolejnych bloków elektrowni obraz tej ziemi zmienił się nie do poznania. Coraz mniej było gospodarstw rolniczych, coraz więcej odpadów. Rosły hałdy, na których doświadczalnie sadzono drzewka owocowe i siano żyto. Mieszkańcy co roku oglądali czarny i brunatny śnieg. Mała kopalnia pracująca dla potrzeb elektrowni nie nadążała już z zaopatrzeniem jej w węgiel, toteż zaczęto budować kopalnię nr 2. Niestety, wiązało się to z koniecznością zdjęcia olbrzymiego nadkładu i przemieszczenia go w inne miejsce.

Zatonie dzieliło się na dwie części: kolonię sięgającą od obecnej szosy Bogatynia - Zgorzelec w stronę elektrowni Turów oraz wieś, od szosy w stronę przeciwną. W tej części stoi do dziś kościół katolicki, obecnie znajdujący się na końcu zabudowań, a wtedy w połowie wioski. Niestety na dzień dzisiejszy jest to już całkowita ruina. Strach tam wchodzić. W miejscu dawnych domów rozciąga się teraz hałda. Szosa Bogatynia - Zgorzelec to nowa, krótsza trasa komunikacyjna. Początkowo stara droga przebiegała koło kościoła i dalej przez Działoszyn. Obecnie częściowo zasypana jest hałdą, a częściowo zalana wodą z utworzonego tutaj zbiornika wodnego. Zaraz za pocztą stał kościół ewangelicki, który miano restaurować. Mieszkańcy jednak nie chcieli tego i ładny gmach z wieżą rozebrano. Przy świątyni był mały cmentarzyk, a obok kapliczka słupowa podobna do stojącej przy obecnej szosie prowadzącej do Zgorzelca. Wyposażenie kościoła częściowo zabrali mieszkańcy wioski. Przez wieś płynie niewielki strumyk, którego wody zasilaty dawniej duży basen kąpielowy z trampoliną, rozbieralnią, prysznicami. Później ulokowano w nim hodowlę karpia, by po paru latach zasypać go. Ludzie przychodzili tu nie tylko aby odpocząć i popływać, ale także do usytuowanej obok restauracji i Sali tanecznej, gdzie w każdą sobotę i niedzielę urządzano zabawy.

Istniało więcej lokali gastronomicznych. Niektóre budynki mieszczące je zachowały się, jednak wykorzystywane są już tylko jako obiekty mieszkalne. Przy obecnym przystanku PKS restauracja "Stara Polanka" zajmowała parter budynku. Na piętrze urządzano potańcówki. Czynna od 8.00 do 21.00, przez cały tydzień była miejscem spotkań większości mieszkańców wioski, zwłaszcza gdy w latach 50-tych zlikwidowano tę przybasenie. Do tańca przygrywała orkiestra.

Obok kościoła i obok basenu działały dwie szkoły podstawowe. W jednej z nich uczniowie mieli do dyspozycji dużą scenę. Oprócz wymienionych obiektów istniały jeszcze dwie piekarnie: jedna koło kąpieliska, druga za pocztą.

W Zatoniu - kolonii zbudowano na miejscu starej stodoły kino, w którym odbywały się też przedstawienia teatralne i kukiełkowe. Koło apteki początkowo był bar mleczny (lata 50-te), później przez kilkanaście lat sklep z artykułami gospodarstwa domowego, potem pijalnia piwa, aż do końca 1980 roku, kiedy to budynek rozebrano ze względu na budowę elektrowni Zatonie. W latach 60-tych postawiono przychodnię górniczą.

Elektrownia Turów miała stać trochę dalej, na polach zlikwidowanych PGR-ów. Później przesunięto lokalizację o dwa kilometry, wykorzystując częściowo bagnisty teren, oszczędzając w ten sposób pola i zmniejszając odległość z kopalni do elektrowni, co nie było bez znaczenia. W czasie budowy centralnej betonowni, nazywanej Lusią, zlikwidowano dwa gospodarstwa rolne. W tym samym miejscu postawiono kotłownię do wstępnego rozruchu. Na miejscu obecnej oczyszczalni ścieków znajdował się stadion sportowy kopalni Turów.

Nie wszystko jednak uległo zniszczeniu. Kilka domów zostało rozebranych i przewiezionych do skansenów.

Na początku lat 60-tych zaczęto budować budynek nazwany później "Megawat". Powstało tu miejsce, gdzie pracownicy mogli oprócz zjedzenia posiłku pokrzepić się czymś mocniejszym. Klienci tej restauracji pozostali do dnia dzisiejszego ci sami, może nie konkretni ludzie, ale pracownicy elektrowni i firm prowadzących w niej prace remontowe.

Początkowo obok "Megawatu" postawiono wiatę - pijalnię piwa, którą po dwóch latach przewrócił wiatr. Więcej jej nie odbudowano, a później w tym miejscu postawiono kiosk "Ruchu".

Zagadkowym obiektem dla każdego, kto tutaj przyjedzie, jest stacja kolejowa Turoszów, wybudowana w latach 60-tych w miejsce baraku. Jest to wszystko co pozostało po wiosce Turów pochłoniętej przez kopalnię, nie licząc kilku budynków już na terenie kopalni.

Nad dopływem Nysy Łużyckiej usytuowany był młyn wodny, na miejscu którego zbudowano kopalniane warsztaty. Podobny młyn wodny, później elektryczny, można było obejrzeć w Markocicach. Innym już rozebrany obiekt był kościół katolicki z cmentarzem, otoczonym prawie dwumetrowej wysokości murem z cegieł. Po wojnie z nieużywanej świątyni wywieziono do innych kościołów jej wyposażenie. Teraz znajduje się w tym miejscu zaplecze oraz budynek dyrekcji kopalni. Obok kościoła były zabudowania PGR-u. W jednym z nielicznych zachowanych domów ćwiczyła orkiestra górnicza. W wiosce tej również istniała szkoła podstawowa.

W Dolnym Trzcińcu znajdowały się ładne domki osiedla górniczego, rozebranego w czasie budowy elektrowni. Mieszkańcy chodzili do istniejącej tutaj w latach 1956-1968 restauracji potocznie zwanej "Kasztan". Po wyjeździe właściciela budynek ten służy wyłącznie celom mieszkalnym. Kolejna restauracja o nazwie "Graniczanka" usytuowana była nad Nysą Łużycką. Miejscowi nazywali ją "mordownią".

W budynku mieszczącym Szkołę Energetyczną, w sali tanecznej odbywały się w każdą sobotę potańcówki. Dla zaspokojenia bardziej przyziemnych potrzeb działał bufet. W czasie wojny istniała tutaj szkoła niemiecka. Wiązało się to z usytuowanymi w Sieniawce lotniskiem oraz koszarami wojskowymi i podziemnymi warsztatami. Przed bramą prowadzącą na dziedziniec uchowały się dwa ozdobne jelenie naturalnej wielkości.

W Dolnym Trzcińcu była również piekarnia oraz rzeźnia ze sklepem firmowym. Druga piekarnia, czynna jeszcze w latach 60-tych, znajdowała się za stawem w Górnym Trzcińcu. Zajmowała ona część budynku mieszkalnego istniejącego jeszcze dzisiaj. W okresie wcześniejszym, to znaczy w latach 50-tych, zamknięto jedną z restauracji oraz salę taneczną. Później rozebrano budynek. Bardzo znana była wówczas orkiestra rodzinna Szmytki.

Zaraz po wojnie dzieci jako zabawek używały nici, igieł, szpilek, które poniewierały się na terenie nieczynnych już zakładów bawełnianych usytuowanych nad Nysą. Maszyny wywieziono wcześniej, co zdecydowało o losie tego obiektu służącego później jako magazyn.

W Trzcińcu Górnym znajdują się ruiny zamku, ale kiedyś, czyli do końca lat 50-tych, prawdopodobnie do roku 1959, istniał tutaj wspaniały pałac. Był to budynek kilkukondygnacyjny o dachu krytym dachówką. Początkowo obiektu tego pilnował softys. Niestety, niedługo. Wkrótce zaczęła się jego dewastacja i rozkradanie mebli. Ściany wewnątrz obite były kolorowym pluszem. Przed wejściem leżały dwa kamienne lwy naturalnej wielkości. Pierwotnie pałac należał do właściciela wspomnianych zakładów bawełnianych. Obok istniały dwie szklarnie, którymi opiekował się starszy Niemiec, a po jego śmierci Polak. Na początku lat 50-tych szklarnie zlikwidowano. Nieopodal znajdowała się głęboka studnia, do której dzieci dla zabawy wrzucały kamienie przywiązane do starych parasoli. Spadały one z głośnym świstem. Później ktoś zasypał częściowo studnię. Chodziły wtedy słuchy, że znajduje się w niej podziemne przejście prowadzące na drugi brzeg Nysy, i że korzystali z niego dywersanci. Na sąsiednim wzgórzu (koło mostu kolejowego) pozostały resztki starego cmentarza. Ponoć jest tam drugi podziemny tunel, częściowo zapadnięty. Na wzgórzu ze wspomnianym już pałacem znajdowała się jeszcze jedna restauracja w budynku z kolorowymi malowidłami naściennymi, w której oferowano nie tylko jadło, trunki i zabawę, ale także wspaniałe widoki.

Interesujące obiekty i ich dzieje można by wyliczać jeszcze długo, ale nie jest to celem samym w sobie. Chodziło mi bowiem o ukazanie jak było dawniej na tych terenach, jak ludzie sobie radzili, jak żyli, jak bawili się. W pamięci ludzkiej pozostało wiele z lat poprzednich, które należą już do historii.

Krzysztof Tęcza